

Historia miłosna

Characters: Joe

Author: demo | Created: 2026-09-18

Chapter 1

Deszcz bębni o blaszany dach magazynu, a ja stoję przy uchylonych drzwiach, patrząc jak krople rozbryzgują się w kałużach oleju na podjeździe. Zegarek na moim nadgarstku pokazuje za dwadzieścia trzecią – spóźnia się już czterdzieści minut. W kieszeni płaszcza czuję ciężar koperty, którą miałem oddać godzinę temu, a palce same zaciskają się na jej krawędzi. Gdzieś w głębi hali coś skrzypi, jakby ktoś przesunął skrzynię, i odruchowo sięgam do wewnętrznej kieszeni, gdzie trzymam nóż.

m nóż, chowany tam na wszelki wypadek. Robię krok w stronę mroku między regałami, stawiając stopy ostrożnie, żeby but nie zachrząścił na betonie usianym odłamkami szkła. Cień między skrzyniami porusza się nierówno, jakby ktoś przestępował z nogi na nogę, niepewny, czy wyjść na światło padające z uchylonych drzwi. Zatrzymuję się o metr od najbliższego regału i pytam w ciemność, na ile pozwala mi spokojny głos: „Kowalski? To ty się spóźniłeś, czy ja przyszedłem za wcześnie?”

Cień nie odpowiada, więc powoli wysuwam kopertę z kieszeni płaszcza i unoszę ją w wąski snop światła padający od drzwi. Papier lekko drży w moich palcach, gdy krople deszczu skapują z rękawa na jego rozek. Postać za skrzyniami zamiera na chwilę, jakby dopiero teraz zauważyła, co trzymam, i słyszę stłumiony oddech, cięższy niż powinien być u kogoś spokojnego. „Widzisz to?” – mówię, starając się, by głos nie zdradził napięcia w moich barkach. „Możemy to zrobić szybko, albo możemy stać tu do rana.”

Cień drży, po czym powoli przesuwa się w bok, aż światło pada na twarz mężczyzny, którego nie rozpoznaję – nie jest to Kowalski. Ma na sobie przemoczoną kurtkę roboczą, a jego oczy uciekają od koperty do moich rąk, jakby liczył, czy zdąży się rzucić. „On mnie posłał” – mówi chropowatym głosem, unosząc dłonie w geście, który ma wyglądać na uspokajający. Robię pół kroku do tyłu, nie chowając koperty, i pytam ostro: „Kto cię posłał i gdzie jest Kowalski?”

Mężczyzna cofa się o krok, opierając łopatki o skrzynię, jakby szukał w niej wsparcia. „Kowalski nie przyjdzie, kazał mi to przekazać” – mówi, wysuwając zza pazuchy zmięty kawałek papieru, który podaje mi drżącą ręką. Nie odbieram go od razu, tylko patrzę na jego palce, plamione czymś ciemnym, co w tym świetle mogłoby być rdzą albo krwią. Deszcz na dachu nagle przybiera na sile, jakby chciał zagłuszyć to, co ma się teraz wydarzyć między nami.

Wyciągam wolną rękę i wydaję z jego palców zmięty papier, uważając, żeby nie dotknąć tej ciemnej plamy. Rozkładam go szybko, przekrzywiając kartkę w stronę światła z drzwi, i widzę kilka słów napisanych niewyraźnym, pochyłym pismem – adres i godzina, nic więcej. Podnoszę wzrok na mężczyznę, który wciąż trzyma ręce w górze, i pytam, ważąc każde słowo: „Czemu Kowalski nie przyszedł sam, tylko wysłał kogoś, kto się trzęsie jak osika?” Jego usta otwierają się, jakby chciał odpowiedzieć, ale zamiast słów wydobywa się z nich tylko chrapliwy oddech, gdy jego wzrok znów prześlizguje się w stronę wyjścia.

Ponawiam pytanie, tym razem twardziej, robiąc krok bliżej, aż czuję zapach jego przemoczonej kurtki, wilgotny i kwaśny. „Coś się stało po drodze?” Mężczyzna przełyka głośno, a jego kadyk podskakuje jak u kogoś, kto od dłuższej chwili powstrzymuje krzyk. „Ktoś czekał na niego pod jego domem” – wyrzuca z siebie jednym tchem, jakby te słowa paliły mu gardło. Jego wzrok znów zbiega w stronę wyjścia, tym razem szybciej, niecierpliwiej, jak człowiek, który już zdecydował, że zaraz ucieknie.

Zaciskam palce na jego przedramieniu, zanim zdąży zrobić pierwszy krok, i czuję pod materiałem kurtki drżenie mięśni napiętych jak struna. „Zostajesz, dopóki nie powiesz mi kto” – rzucam, ściągając go z powrotem w głąb korytarza między regałami, dalej od smugi światła. Mężczyzna syczy z bólu albo ze strachu, trudno rozpoznać które, i mruczy pod nosem nazwisko, którego nigdy wcześniej nie słyszałem – Renke. „On przyszedł po coś, co Kowalski miał u siebie, i nie zamierzał czekać na uprzejmości” – dodaje, a jego oczy błyskają czymś, co przypomina błaganie, żebym już go wypuścił.

Puszczam jego przedramię, ale ustawiam się tak, by blokować mu drogę do wyjścia. „Renke wie, gdzie ja jestem?” – pytam, czując, jak ta myśl ściska mi żołądek bardziej niż cokolwiek do tej pory. Mężczyzna kręci głową gwałtownie, za szybko, jakby sam nie był tego pewien. „Kowalski kazał mi biec tu najkrótszą drogą, mówił, że nie ma czasu na tłumaczenia, że masz zrozumieć samą kartkę” – mamrocze, ocierając przemoczonym rękawem czoło, na którym pot miesza się z deszczem.

Składam kartkę z powrotem i wsuwam ją do kieszeni kurtki, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. „A ten Renke – wysoki, niski, jakieś znaki szczególne?” – pytam, bo im więcej szczegółów, tym mniejsza szansa, że wpadnę w coś nieprzygotowany. Mężczyzna zawiesza wzrok gdzieś nad moim ramieniem, jakby próbował sobie przypomnieć twarz, której wolałby nigdy nie widzieć. „Blizna, tu, przez brew, i mówi tak spokojnie, że aż ciarki chodzą” – szepcze, rysując palcem linię nad swoim okiem, po czym cofa rękę gwałtownie, jakby nawet ten gest parzył go od środka.